

Jerzy Gumowski

część I z III

Sygnatura notacji: **N0489**

Data urodzenia: **28.09.1956 r.**

Data nagrania: **24.10.2023 r.**

Miejsce nagrania: **Dom Świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 50 min, część II: 54 min, część III: 27 min.**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jerzy Gumowski: Urodziłem się niedaleko stąd, po drugiej stronie Wisły, na Powiślu, w szpitalu świętego... Jerzego chyba, ale mogę się mylić. 28 września 1956 roku. No i po urodzinach od razu ze szpitala trafiłem tu do tego mieszkania. W tym mieszkaniu mieszkałem od urodzenia. Najpierw mieszkałem z moją matką, siostrą i ojcem. Potem historia trochę się pozmieniała, życie ludzi też. Ojciec się rozstał z moją matką. I w 1965 roku w sposób tragiczny i właściwie do dziś niewyjaśniony zmarł w swoim mieszkaniu na ulicy Chmielnej w Warszawie. Ojciec był żołnierzem Armii Krajowej, był Powstańcem Warszawskim, jest na liście Powstańców Warszawskich zapisany. Nosił pseudonim „Rolicz”. [głos spoza kadru] Jak się nazywał ojciec? Antoni. Antoni Gumowski. Nosił pseudonim „Rolicz” po swoim wujku, po swoim wujku, Janie Kantym Gumowskim, który był po pierwsze malarzem I Brygady Piechoty i brał udział w wojnie polsko-rosyjskiej wtedy. Był też rysownikiem i malarzem. Namalował kilka portretów Józefa Piłsudskiego. I jako żołnierz I Brygady rysował portrety swoich współżołnierzy, z którymi walczył. I cała brygada dzięki temu jest jakoś zdokumentowana. Portrety tych ludzi jakoś tam można jeszcze oglądać. Jan Kanty wydał też kilka tek, gdzie rysował np. elementy polskie w Gdańsku, gdzie rysował miasta. On wydał tekę Gdańsk, Częstochowa, Lublin. To były grafiki i w tych tekstach znajdowało się 20–25 takich grafik. One dzisiaj są cennym materiałem, nie tyle archiwalnym, co zabytkowym, cenionym na różnych aukcjach. Rysował Jan Kanty, wuj mojego ojca. I to był Jan Kanty. Tak, to jest mój ojciec. Bratem mojego ojca był Jacek Gumowski, który jest na zdjęciu z rękoma w kieszeni. Zdjęcie pochodzi z 42 roku i pokazuje żołnierzy Narodowych Sił Zbrojnych, ponieważ wujek służył w oddziałach Narodowych Sił Zbrojnych, a potem jak musieli uciekać z Polski przed sowieckim najazdem, to przedostał się do Brygady Świętokrzyskiej i razem z Brygadą Świętokrzyską trafił dalej szlakiem Brygady do generała Pattona. Miał stopień porucznika w brygadzie, czyli dosyć wysoko. Ja wujka odwiedziłem – mojego wujka, bo to brat mojego ojca, ja wujka przed jego śmiercią

odwiedziłem w Stanach Zjednoczonych i tam jakby przez długie, długie godziny rozmawialiśmy o historii, o historii Polski, o historii Narodowych Sił Zbrojnych, o tym wszystkim, co wujek mógł mi przekazać, bo jeszcze pamiętał. [głos spoza kadru] Który to był rok? Już sobie przypominam... To mógł być rok 2006–2005. Także ja dostałem od niego jakby z bezpośredniej ręki opowieści o Brygadzie Świętokrzyskiej na przykład. Te opowieści są w dużej kontrze do tego, co dziś niektórzy ludzie publicznie mówią o tej formacji. No i taką osobą chyba, która też wywarła na mnie wielki wpływ był mój dziadek, czyli brat Jana Kantego-Gumowskiego, Marian Gumowski i jego druga żona Eugenia Gumowska z Hryniewiczów. Dlatego z Hryniewiczów, bo ona była właściwie rodowitą wilnianką. Ona kochała to Wilno... Tak, tu jest Eugenia Gumowska. Ona kochała Wilno w ten sposób, że jak ja u niej przez rok mieszkiałem w Toruniu, to ona mi opowiedziała o Wilnie tak, że jak ja już w czasach, kiedy pracowałem w „Gazecie Wyborczej”, pojechałem do Wilna, to nie musiałem mieć mapy, bo wiedziałem dokładnie, co gdzie jest. A pierwsza rzecz, którą zrobiłem, to udałem się do kościoła św. Anny, neogotyckiego, w którym moja babcia była zakochana. Jej mąż, a mój dziadek, Marian Gumowski, z kolei był profesorem na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, a wcześniej, w okresie przedwojennym, był dyrektorem Muzeum Wielkopolskiego w Poznaniu. Był też chyba jednym z największych polskich numizmatyków, filatelistów i zajmował się też sfragistyką. Napisał około 400, nawet chyba powyżej 400 różnych prac, w tym książek o numizmatach, w tym książek historycznych. No i to są jakby korzenie. Mama skończyła w Poznaniu, po wojnie dwa fakultety, jeden z ekonomii, a drugi z prawa. Po tych dwóch fakultetach postanowiła zostać adwokatem. I została tym adwokatem, pracowała do prawie końca swojego życia. bo jeszcze w wieku 93 lat prowadziła w sądzie sprawy swoich klientów. Zmarła w wieku 96 lat i matka mieszkała tutaj, w tym mieszkaniu razem ze mną do momentu, kiedy ja się ożeniłem. Ja się ożeniłem chyba w 1979 roku, ale jak żona usłyszy, to może mnie zrugać, że się pomyliłem. [śmiech] [głos spoza kadru] Mama kiedy zmarła? Mama zmarła 3 lata temu. [głos spoza kadru] Jak miała na imię? Zofia. Mama pochodziła z podwarszawskiego Milanówka. Tam mieszkali jej rodzice no ale udała się potem w świat właśnie do Poznania na studia, potem tutaj do Warszawy po wojnie, tu poznała mojego ojca, no ale życie jest życiem. Ja swoje dzieciństwo wspominam w sposób znakomity. To było szczęśliwe dzieciństwo, biorąc pod uwagę to, że dosyć szybko mama postanowiła dać mi dużo wolności. Ja już w szkole podstawowej na przykład na wakacje jeździłem sam. A jeździłem na te wakacje sam, bo mieliśmy i mamy do dziś nieruchomość z domem wielosezonowym w Dębkach nad Morzem. I oprócz tych rzeczy, które tam rodzinie zostały mi przekazywane o historii Polski, o Polsce, bo mama mi to też przekazywała, to w tych Dębkach... Chociaż nie, to jest trochę później, zacznę co innego. W wieku 12 lat sam autobusem pojechałem w marcu 1968 roku, ja chyba wtedy miałem 12 lat. Pojechałem autobusem pod, dzisiaj to jest Rondo de Gaulle’a, wtedy nie pamiętam jak się to rondo nazywało, ale obok tego ronda stał dom Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. No i tam się odbywały marcowe demonstracje i marcowe bójki z milicją wtedy. No i ja tam pojechałem i na własne oczy widziałem, co się dzieje, jako dwunastoletni chłopak. Potem... To wywarło na mnie jakiś wpływ, bo ja o tymi obrazami fotograficznymi, bo mam pamięć fotograficzną, przypominam sobie takie właśnie zdjęcia z tamtych czasów. Jak ludzie uciekają do tramwaju, jak uciekają w stronę Nowego Świata, jak milicja za nimi biegnie z pałami białymi w górze. To ja te obrazy pamiętam. Dla mnie ważne było to, że w autobusie wszyscy ludzie rozmawiali o tych ludziach, co uciekali, a nie o milicjantach. I dla mnie to było ważne, ponieważ ja się od razu zacząłem identyfikować z tymi ludźmi, którzy wyszli na ulicę i potem byli gonieni i bici przez milicjantów. Ja uważałem, że oni są biedni i ja powinienem stać po ich stronie. No i potem, skoro już zacząłem opowiadać o moich wakacjach w Dębkach, to po roku 1970 i po grudniu roku 1970, czyli w 1971 roku, jak pojechałem na wakacje, to obok naszej działki działkę miał taki nasz późniejszy przyjaciel, nazywał się Jacek Czyżewski.

I on mieszkał w Gdyni naprzeciwko domu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I tam chyba też jakiś urząd w tym domu się mieścił. No i na tych wakacjach, długie, długie wieczory przy ognisku opowiadał nam i tam przyjeżdżali do niego też jego znajomi z Gdyni i Gdańska i oni wszyscy opowiadali nam, tym przyjezdnym z Warszawy, co tam się tak naprawdę działo, jak to wyglądało. I to na mnie też robiło wielkie wrażenie. I wiem, że w tym 1971 roku w tych Dębkach była jedna, jedyna restauracja, w której pracowała dziewczyna, która była naszą znajomą. I w pewnym momencie ten właściciel tej restauracji powiedział, że jej nie zapłaci za tę jej pracę. I wszyscy znajomi z tych Dębek, a wtedy w tych Dębkach nie było dużo ludzi, tam przyjeżdżało 150–200 osób na wakacje, podjęli strajk w środku tego. Myślę sobie, że w dużym sensie właśnie na bazie tych opowieści, których żeśmy przy ognisku słuchali. Właściciel wezwał milicję i żeśmy się z tą milicją tam trochę starli, że tak powiem. Ale ponieważ to już były godziny wieczorne, więc my wiedzieliśmy gdzie uciekać, jak uciekać. No ale to na fali tego 1970 roku, Grudnia 1970 roku. No potem, potem może szybko przeskoczę. Potem przyszła „Solidarność”, która w moim odczuciu była niebywale silnym, niebywale potrzebnym ruchem. Ja pracowałem wtedy, to była moja pierwsza praca, którą mi mój teść załatwił, w zakładach Róży Luksemburg, które były w Warszawie. Przy ulicy, tam w tej chwili jest Muzeum Powstania Warszawskiego i w tych zakładach już one produkowały żarówki, te zakłady. I w tych zakładach, jak wybuchł strajk w Gdańsku, to Róża Luksemburg wcześniej niż strajk Gdańska podjęła strajk. Ja ten strajk obserwowałem. Ja byłem człowiekiem, który pracował w Róży Luksemburg w pracowni fotograficznej zajmującej się dokumentacją produkcji, która ta Róża Luksemburg wytwarzała. A ponieważ w zakładzie pracowała większość kobiet, więc ten strajk zrobiły kobiety tak naprawdę. Ja zaraz po tym strajku zrezygnowałem z tej pracy i uciekłem stamtąd. Ale to były też takie elementy, że nagle coś się w tym kraju zaczyna dziać. I to, co się zaczęło dziać, obserwowałem bardzo, bardzo dokładnie słuchając oczywiście Radia Wolna Europa, które wtedy było jedynym źródłem rzetelnych informacji. I tu u nas w tym mieszkaniu było tak, że ja miałem małe tranzystorowe radyjko, które sobie słuchałem w tym małym pokoju, który jest za mną, a mama miała duże radio w kuchni, gdzie też słuchała Radia Wolna Europa. No i tak żeśmy dobrnęli chyba do stanu wojennego. Ja maturę zdałem w 1975 roku. I po maturze wyjechałem właśnie do moich dziadków do Torunia. Wtedy już mój dziadek nie żył, ale żyła Eugenia Gumowska z Hryniewiczów i mieszkaliśmy u niej przez rok, bo usiłowałem dostać się na studia, na archeologię podwodną na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, no ale to się nie udało. m. in. z tego powodu, że kupiłem sobie pierwszy aparat fotograficzny i byłem zafascynowany fotografią już w tamtych latach, czyli w 1976–1977 już zaczynałem fotografować. I ten rok w Toruniu miał olbrzymi wpływ na mnie. Potem przyjechałem do Warszawy. Tu w Warszawie chyba zacząłem chodzić, żeby uniknąć służby wojskowej, która w tamtym czasie była przymusowa, zacząłem chodzić tu na Saskiej Kępie do Szkoły Pracowników Socjalnych, pomaturalnej. No i w tej szkole główną rzeczą, którą się zajmowałem to dokumentację fotograficzną i tego, co jest w szkole, i tego, co się dzieje wokół tej szkoły. A takim wychowawcą tej grupy, w której ja byłem, był niejaki pan Tadeusz Pieniążek, który był dobrym znajomym i przyjacielem... Nie pamiętam imienia, Kamińskiego, autora „Kamienie na szaniec”. Aleksander Kamiński, „Kamienie na szaniec”, tak. No i z tym panem profesorem „Pudełko”, jak żeśmy go nazywali i z Aleksandrem Kamińskim chodziliśmy na przykład na Cmentarz Powązkowski do Doliny Katyńskiej, czy na Cmentarz Powązkowski na groby Powstańców Warszawskich. I to są rzeczy, ja o tym mówię, ponieważ opowieści czy słuchanie tych ludzi miało na mnie wielki wpływ. 12 grudnia, bo ja już wtedy byłem po ślubie i miałem swojego syna małego, Łukasza. To pierwszy mój syn, drugi urodził się 6 lat po Łukaszu. No i wtedy tutaj na Aldony przyszedł mój przyjaciel, z którym żeśmy 12 grudnia do późnych godzin nocnych siedzieli i rozmawiali, wypijali nieco trunków. I dobrze żeśmy spędzili wieczór. On potem wsiadł w swój samochód, pojechał. A ja dopiero

rano, jak otworzyłem telewizor, to widzę, że coś jest nie tak. No i ten stan wojenny mnie zaskoczył na tyle, że jak się dowiedziałem, że został wprowadzony, to od razu, chyba autobusem wtedy, pojechałem pod siedzibę Związku Zawodowego „Solidarność”, która była niedaleko Placu Zbawiciela. Ale tam był duży tłum ludzi. Wszyscy ludzie mówili, że wszyscy ludzie ze Związku zostali wywiezieni i że w budynku nie ma już nikogo, że teraz tam jest esbecja i esbecja przegląda wszystkie rzeczy. No i ten tłum w pewnym momencie został zaatakowany przez milicję, tak żeby się rozproszył. No i ja się rozproszyłem do kościoła. No i w tym kościele, razem z tymi ludźmi, którzy spod budynku Zarządu Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” dostali się do kościoła, spędziliśmy jakieś może półtorej godziny i po tej półtorej godzinie wróciłem do domu. Ale też nie mieliśmy kontaktu z rodzicami mojej żony, więc trzeba było jakoś dotrzeć na Stegny z Saskiej Kępy. To była ostra zima i było nieźle. I wiem, że dojechałem do ulicy Sobieskiego, a potem już na piechotę musiałem na te Stegny dojść. No i tyle. Następnego dnia po 13 grudnia, czyli 14 grudnia, zapukał do mnie znajomy, niejaki Maciej Zalewski, który studiował razem z moim przyjacielem Mirkiem Pęczakiem, obecnie profesorem, studiowali razem polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim i przywiózł kilkanaście ryz papieru do maszyny do pisania. Bo proszę pamiętać, że w tamtych czasach nie było komputerów, tylko były maszyny do pisania. I te maszyny były wykorzystywane w ten sposób, że jak się drukowało jakiś tekst ulotny, czy druk ulotny tak zwany, to się go drukowało używając na przedzie papieru A4 do maszyny właśnie, potem była kalka, po kalce był papier przebitkowy, który był może dwa razy cieńszy niż ten pierwszy główny papier do pisania na maszynie i potem znowu była kalka, następna przebitka, następna kalka, następna przebitka i tam już piąta czy szósta przebitka, to już nie było można przeczytać, co zostało napisane. No i ten papier był bardzo ważny, ale ponieważ moja żona się bała, bo papier był zanieiony nie do domu, tylko był na strychu, ponieważ moja żona się bała, że ktoś z domowników pójdzie na strych, bo wtedy na strychu wywieszało się pranie na przykład, pójdzie na ten strych i zobaczy ten papier, to mogą być z tego duże, duże kłopoty. Więc on by leżał tam może 3–4 dni, po tych 3–4 dniach został zabrany. Ale w międzyczasie skontaktowała się ze mną moja przyjaciółka od dzieciństwa, od czasów I klasy szkoły podstawowej, Ewa Brykowska, obecnie Ewa Brykowska-Lineicka, która była działaczką NZS-u i która brała udział w strajkach na Uniwersytecie i na Politechnice. I podczas tych strajków poznała i bardzo głęboko zaprzyjaźniła się z Teodorem Klincewiczem. Teodorem Klincewiczem, który już w tamtych czasach on był, zdaje się, że szefem NZS-u na Politechnice Warszawskiej, ale już w tamtych czasach zaczął organizować organizację, która się nazywała Grupy Oporu Solidarni. Cały system i schemat organizacji tej grupy został zaczerpnięty z nauk, jakie Teodor Klincewicz przeszedł u dawnych żołnierzy Armii Krajowej. Ponieważ on sam, Teoś, wywodził się z rodziny niepodległościowców, z rodziny byłych żołnierzy AK. On się urodził na Kresach i tam z Kresów potem po wojnie trafił tutaj. Ale miał w związku z tym, że jego ojciec, zdaje się, czy jego wuj, mieli bardzo dobre kontakty wśród żołnierzy Armii Krajowej. I on do tych żołnierzy chodził i słuchał lekcji, jak się organizuje podziemie. Co skończyło się tym, że Grupy Oporu Solidarni zostały skonstruowane tak, jak konspiracja Kedywu Armii Krajowej. Czyli wszystko zostało podzielone na grupy składające się z pięciu osób, z czego tylko jedna osoba z takiej grupy miała kontakt z następną grupą. I dlaczego o tym mówię? Bo to miało ogromny wpływ na późniejsze moje bezpieczeństwo, po pierwsze, a po drugie na to, że ja w praktyce nie znałem nikogo z podziemnej organizacji. Znałem wszystkie głowy typu Zbigniew Bujak, ale znałem ich no i z widzenia powiedzmy i ze słyszenia. Ale z Grup Oporu Solidarni znałem pięć osób. Znałem Ewę Brykowską, Teosia Klincewicza, który się ze mną skontaktował w pierwszych dniach stanu wojennego. Znałem kobietę, która nazywała się Jadzia i która raz w tygodniu przychodziła do mnie i przynosiła oryginalny maszynopis pisma, które się nazywa „Wiadomości”. Które to pismo ja przygotowywałem do druku przez długie, długie miesiące i lata. To tu jest

numer, który jest z 1981 roku, sto dziewięćdziesiąty i podejrzewam, że te 190 numerów przeszło przez moje ręce. I to są oryginały, które mi do dzisiaj zostały. Ale teraz, mówiąc o tym Kedywie i o bezpieczeństwie, to... To ważne jest, że ja sam opracowałem sobie swój system bezpieczeństwa tu, w pracowni, bo nad mieszkaniem, w którym teraz jesteśmy, znajdowało się coś, co my nazywaliśmy przygórkim. To było takie pomieszczenie gospodarcze, które ja sobie zaanektowałem, jak wybuchł stan wojenny i otworzyłem tam swoją pracownię fotograficzną, a właściwie ciemnię fotograficzną która była tylko i wyłącznie na potrzeby podziemia. Tam się znajdowała kolumna reprodukcyjna, takie urządzenie służące do reprodukcji wszystkiego praktycznie. Znajdował się powiększalnik fotograficzny z bardzo dobrym obiektywem Rodenstock niemieckim. Znajdowały się kuwety, ale też tam na górze jest woda. Teraz ta pracownia i ten dom zostały oznaczone przez PTTK w swoim katalogu, że jest to miejsce, które warto jest zobaczyć, jak się chodzi i zwiedza Saską Kępę. I że w tym miejscu właśnie mieściła się pracownia. Ewa była dziewczyną Teodora Klincewicza i była jego prawą ręką. Ona mu wszystko organizowała. Ona mu organizowała kontakty, ludzi, samochody, przerzut tzw. bibuły, czyli druków ulotnych. Ona mu też organizowała miejsca, w których on mógł się chować. I mieszkania, w których mógł mieszkać. Ewa skontaktowała się ze mną, że chce mi przedstawić Teodora Klincewicza. No i Teodor Klincewicz przyszedł do mnie i powiedział, że będzie miał do mnie w przyszłości jakieś rzeczy, które ja bym w ciemni mógł dla niego robić. Ja mówię, no oczywiście, nie ma sprawy. No ale główną osobą, którą do mnie wysłał to była właśnie ta Jadzia. Dziewczyna, o której ja do dzisiaj nic nie wiem. Tzn. doszły mnie jakieś tam informacje, że ona po stanie wojennym pojechała do Krakowa do klasztoru Karmelitanek bosych. Ale potem doszły do mnie informacje, że wytrzymała tam dwa lata i wróciła z powrotem do Warszawy, już nie jako zakonnica. Ale ja kompletnie nie mogę tego zweryfikować. To są takie informacje, które przez jakiś tam przypadek do mnie dotarły. No ale ta Jadzia regularnie w środę co tydzień, przychodziła do mnie albo umawiała się ze mną gdzieś na terenie Saskiej Kępy, czyli na przykład na Rondzie Waszyngtona, na przekazanie oryginałów pisma „Wiadomości”. Ale nie tylko, bo tam były też różne inne ulotne rzeczy, które były drukowane i ja je robiłem w środę, wieczorem, a czasami w nocy i w czwartek po południu ta Jadzia znowu się ze mną spotykała i to odbierała. I albo przychodziła do domu, albo właśnie gdzieś na Rondzie Waszyngtona, czy na ulicy Saskiej żeśmy wymieniali to ze sobą i kiedyś taka śmieszna rzecz była, bo siedział u mnie mój teść, właśnie w środę i przyszła Jadzia. Jak on ją zobaczył, ja już z Jadzią w drugim pokoju pozatatawałem, co miałem zatatawić i Jadzia wyszła, to teść mówi: a ona co, z Powstania Warszawskiego? Bo ona była taką swoim wyglądem, ubiorem, uczesaniem i też stylem mówienia była taką kobietą, którą można by żywcem przenieść do Powstania Warszawskiego właśnie. [śmiech] I to mój teść od razu wyczuł. I od razu wiedział, że coś tu jest kombinowane i zaczął zadawać pytania, a co to ona, a po co przyszła, a co dała, co zostawiła? Oczywiście żadnej informacji nie dostał. I ta Jadzia tak przychodziła przez tydzień, miesiąc, rok, aż prawie do końca, czyli aż do jakiegoś 1988 roku, raz w tygodniu ukazywały się „Wiadomości”. „Wiadomości” jako taką podstawową rzecz. Ja już dziś, ani nawet parę lat temu nie pamiętałem moich zleceń, jakie mi przekazywał Teodor Klincewicz. Pamiętałem kilka bardzo ważnych. Pierwsze to było to, że... Ale już w którym roku to się działo, w jakim przedziale czasowym, tego nie wiem. Podejrzewam, że to właśnie te wczesne lata 1980-te. Przekazał mi do skopionowania... Może ja powiem tak, że w tej pracowni na górze, w tej ciemni fotograficznej, cały proces tworzenia materiału wyjściowego do późniejszego tworzenia sitodruków czy blach offsetowych, to był proces czysto analogowy. Używało się do niego bardzo silnych, silnie kontrastowych błon graficznych, światłoczułych. Na tych błonach robiło się negatywy, które potem się powiększało do rozmiarów oryginału. To wszystko wymagało kąpieli w wywoływaczu, potem opłukiwania w wodzie, potem utrwalania w utrwalaczu. Czasami to robiło się bardzo szybko, czasami za

szybko i do dzisiaj część tych oryginalnych negatywów już się nie zachowała w takim stanie, w jakim była pierwotnie, bo pozostałości po utrwalaczu wyżarły to, co tam jest do wyżarcia. I część takich rzeczy... Ja gdzieś tam zostawiłem. To na przykład, takie coś, czy... To są wszystko oryginały. Małoobrazkowe oryginały druków ulotnych, wiadomości właśnie. Ale dlaczego tak mało zostało? To jest bardzo ważne, bo ze względu bezpieczeństwa, o czym już chciałem wspomnieć wcześniej, ze względu bezpieczeństwa ja sobie opracowałem pewien styl pracy tej pracowni. Jak przychodziła Jadzia ze swoimi materiałami do zrobienia... Do zrobienia klisz graficznych, to ja od czasu do czasu takie klisze, negatywy chowałem tutaj na balkonie, który miał jeszcze wtedy blaszane parapety. I ten jeden z blaszanych parapetów mogłem unieść do góry i tam w torebce foliowej schować te rzeczy. Schować po to, że gdyby się coś stało złego, a to się mogło stać, to nie chciałem, żeby takie materiały były w pracowni na górze, w ciemni. Chciałem, żeby jak przyjdzie milicja na rewizję, żeby tego nie znaleźli. A tu na balkonie, jeszcze dodam, moja żona przywiązała do barierki długi sznur, żeby w razie czego, jak przyjdzie milicja, żebym ja mógł sobie zjechać po tym sznurze do ogródka i uciec gdzieś dalej. Materiały, które przynosił z kolei Teoś do zrobienia, były od razu po zrobieniu i przekazaniu oryginałów Teosiowi, czy człowiekowi, którego on polecił, żeby to odebrał, były od razu przeze mnie wynieszone i wrzucane do różnych śmietników na terenie całej Saskiej Kępy. Dlaczego tak? Dlatego, że materiały od Teosia były trochę bardziej niebezpieczne, jeżeli można tak powiedzieć, bo robienie „Wiadomości”, klisz dla „Wiadomości”, było równie niebezpieczne, ale te dla Teosia były dużo bardziej. Po pierwsze dlatego, że Teoś, też nie pamiętam dat, kiedy się to zaczęło, te rzeczy, które on przynosił. Po pierwsze zaczął przynosić dowody osobiste z prośbą o wymianę zdjęć. Dowody osobiste w tamtych czasach to były książeczki papierowe i najważniejsze co w takich książeczkach było, to była pieczęć. Pieczęć, która była postawiona na zdjęcie i obok na papier. Okrągła. I do tego, żeby zrobić dowód osobisty dla ukrywającego się Zbyszka Bujaka trzeba było w tym dowodzie... Pochodzenie tego dowodu, ja nigdy się nie pytałem Teosia skąd ten dowód, ale to były dowody na jakichś ludzi dziwnych. Albo były znalezione, albo były po prostu komuś ukradzione. Ale ja tego nie traktuję jako złą kradzież, bo one były robione w dobrych zamiarach, no jeżeli się udało zrobić dowód osobisty dla Zbyszka Bujaka, czy Jacka Józwy, czy jeszcze kilkanaście innych, ale już w tej chwili nie pamiętam komu, to ci ludzie mogli się swobodnie poruszać po miastach. Jak się milicja pytała o dowód, to wyciągali oryginalny ze swoim zdjęciem w środku. Żeby to zdjęcie podmienić, to stare trzeba było umieć usunąć, bo one były na klej przyklejane, te zdjęcia. To były normalne czarno-białe portrety. A po drugie trzeba było... Zrobić kliszę graficzną pieczęci w ten sposób, żeby... Ja nie wiem, czy przy pomocy sitodruku, bo to była robota następnego wianuszka, który się tym zajmował, czy przy pomocy zrobienia prawdziwego stempla na podstawie błony graficznej ze stemplem, zrobić taki stempel, żeby pasował do tej papierowej części, która zostawała, jak się zdejmowało zdjęcia. No i to już było fałszowanie pieczęci państwowej. I to już było tak, ja myślę, że pod 15 lat więzienia, gdyby to się okazało. To było fałszerstwo, czyste fałszerstwo. No ale nie tylko to, bo był okres, kiedy były wprowadzone kartki na benzynę. Pierwsze kartki na benzynę były w ten sposób wykorzystywane, że po zatkanowaniu jakiejś tam ilości benzyny szło się do okienka stacji benzynowej, a pan w okienku stacji benzynowej... Te kartki miały kratki. W kratce z datą stawiał pieczęć. No i któregoś razu przyszedł do mnie Teoś i dał mi taką małą butelkę z płynem w środku. Ja mówię, co to jest? No, będziesz miał na benzynę. Mówię, a jak to się używa? Palcem smarujesz na kratkę, dajesz do podbicia pieczęci, a potem bierzesz ślinę, zmazujesz i pieczęć nie ma. I rzeczywiście przez długi, długi czas dało się tak mieć benzynę do samochodu. Ja wtedy jeździłem volkswagenem garbusem no i ta benzyna była bardzo potrzebna. I to też oczywiście rodzaj fałszowania, ale takie były czasy, bez takich rzeczy człowiek nie żył praktycznie. Potem się okazało, że te kartki są wycinane. Że nie stawia się pieczęci, tylko pracownik

stacji benzynowej odcinał kwadraciki, więc trzeba było zrobić wzór takiej karty na benzynę, żeby można było ją na sitodruku czy innym systemem, czyli offsetowym na przykład, wydrukować, żeby mieć tych kartek trochę, nie tylko dla Teosia i dla mnie, ale dla całej jej struktury podziemnej. W późniejszych działaniach zarówno Teosia jak i moich, Teoś przyniósł mi np. wezwanie do stawienia się na Komendę Główną Milicji do Pałacu Mostowskich w charakterze świadka jakiejś tam osoby, na którym to formularzu też były pieczętki, tam była jedna pieczętka okrągła, jedna prostokątna i mówi, słuchaj, no musisz mi zrobić to wszystko, ja muszę mieć czyste takie wezwania i muszę mieć te dwie pieczętki. Czyli materiał, żeby zrobić te dwie pieczętki. No i to już była taka praca trochę bardziej skomplikowana, bo trzeba było zreprodukować to wezwanie, trzeba było potem przerzucić je na duży format, przynajmniej A4, bo te wezwania były malutkie, takie jak dłoń mniej więcej. Przerzucić je na duży format, papieru światłoczułego, na A4 i przy pomocy pędzelka do retuszu, bo wtedy wszystkie zdjęcia fotograficzne, wszystkie pozytywy fotograficzne, retuszowało się pędzelkiem i tuszem. Albo tuszem czarnym, albo szarym, albo białym. Białym jak potrzebne było domalowanie czy zamalowanie jakiejś czarnej rzeczy. No i to była dosyć męcząca i trudna robota, bo to trzeba było dosyć fachowo zrobić, żeby po pierwsze wyrzucić te nazwiska, które tam są. Nie było Photoshopa, niestety [śmiech] Ale żeby wyrzucić te nazwiska, te adresy, żeby zostawić czyste wezwanie, żeby odizolować od tego wezwania te dwie pieczętki, które czasami były postawione na czarnych liniach, żeby to wszystko pomalować pędzelkiem i potem zrobić z tego negatyw, a z negatywu pozytyw na błonie kontrastowej, światłoczułej, no to naprawdę wymagało to dużo pracy. I po zrobieniu tego... Jakies parę miesięcy po zrobieniu tego wezwania Teoś tutaj przyszedł do mnie i mówi: no słuchaj, świetnie wyszło. Jednego dnia o tej samej godzinie pod Pałac Mostowskich w Warszawie zjechało się kilkadziesiąt limuzyn z partyjnymi szefami z całej Polski. Bo dostali jedno wezwanie na jeden dzień na tą samą godzinę. No i co się tam działo, to w ogóle, achy i ochy. To była akcja, w którą ja nie wierzyłem, jak mi Teoś opowiadał w stanie wojennym o tym. Ja sobie pomyślałem, uuu, chyba coś zmyśla, to raczej niemożliwe. No ale potem, po stanie wojennym, jak spotkałem Jacka Józwę na przykład, na Marszałkowskiej 3, tam jest Dom Wolnego Słowa. To się okazało, że to prawda, że tak było, tylko o tym nikt nie mówił. Nie wiem, czy to jest ktoś, kto się zajmuje historią stanu wojennego, czy wie o tym, czy w książkach o stanie wojennym ta sytuacja i ta akcja istnieje. No, ale ona była. Potem się okazało, że Teoś przyniósł mi książkę, ja już o niej wspominałem. Pierwsza książka, która ukazała się o Lechu Wałęsie. Najprawdopodobniej wydawnictwa „Rytm”. Tam było sto kilkadziesiąt stron i one wszystkie były tutaj u mnie robione. Teoś też zaczął mi przynosić materiały, które produkowała jego ówczesna dziewczyna, czyli Ewa Brykowska-Liniecka. Ona była graficzką i ona produkowała dla niego oryginały znaczków pocztowych, pocztówek solidarnościowych. Ona też chyba brała udział przy tworzeniu różnych logotypów dla na przykład wydawnictwa „Głos”. Ona je projektowała. No i wtedy ja się zajmowałem wypuszczaniem klisz graficznych, oryginałów właśnie tych znaczków. Ja już nie pamiętam ile ich było, ale to była duża produkcja też. I tych pocztówek też była duża produkcja. To są fotografie... One były wywoływane... Tak, ale w wypadku tej fotografii czy bardziej znanej tej fotografii to jest obóz internowania na Białoleścu, czy bardziej znanej tej, gdzie jest Adam Michnik i chyba Janas. Te numerki 11 i te oznaczenia to jest moja produkcja i moja robota. I któregoś razu... Zadzwonił do mnie człowiek, który mi powiedział, że chce się ze mną zobaczyć niedaleko Hali Mirowskiej, pod blokiem. No i powiedziałem, dobrze, spotkamy się. Spotkałem się z nim i był to Czesław Bielecki niejaki, który był wtedy szefem wydawnictwa CDN. No i Czesław się zapytał, czy moja pracownia fotograficzna ma taki przerób, że ja bym mógł zrobić albumy właśnie z Białoleścu w formacie 13x18 centymetrów. Ponieważ ja już wtedy miałem dużą pracownię fotograficzną, rzemieślniczą, na ulicy Różanej, razem z takim moim współnikiem, Krzysztofem, nazwiska którego nie pamiętam, bo mi już dawno temu

wyleciało. Ale to było, jak na tamte czasy, profesjonalne studio fotograficzne z ciemnią fotograficzną, przystosowaną do produkcji dużej ilości materiałów fotograficznych, nie tylko czarno-białych, ale i kolorowych. To były takie wielkie pojemniki na chemię, czyli na wywoływacze, na utrwalacze, na wodę, na płukanie, do których wkładało się specjalne kosze, w których w jednym takim koszu można było zrobić 300 odbitek 13x18. No i ja dostałem oryginalne negatywy. Od wtedy żony Czesława Bieleckiego, Marii, bo Czesław mnie przekierunkował na Marię, żeby z nią te sprawy załatwić. No i ta pracownia wyprodukowała kilkaset tych albumów z Białołęki. Znaczący pracownia, ja wyprodukowałem kilkaset tych albumów i potem moim samochodem w trzech chyba dużych pudłach zawiozłem to do mieszkania, w którym ta Maria czasowo przebywała. I znakiem takim rozpoznawczym na to, czy ja mogę iść do tego mieszkania, czy nie, był, jak na filmach, kwiatek w oknie. Jak kwiatka w oknie nie było, to mam uciekać. Jak kwiatek stoi, to mogę wejść na górę. No i ja ten cały towar na górę zawiozłem, dałem. I na tym się moja rola skończyła, ale po stanie wojennym też na spotkaniu z jakimiś ludźmi dowiedziałem się, że dwa dni później do tego mieszkania wpadła milicja i cała ta moja produkcja przepadła. Nie wiem, czy to jest prawda, nie mam zielonego pojęcia, bo jakby, tak jak mówiłem wcześniej, ja z podziemia nikogo nie znałem. Znałem trzy czy cztery osoby. Takim następnym przypadkiem działalności pracowni fotograficznej mojej było to. To jest zdjęcie dziewięciu górników poległych w kopalni Wujek i historia powstania tego jest taka, że też któregoś dnia zadzwonił do mnie pan i zapytał się, czy może się ze mną spotkać na rogu ulicy Aldony i Obrońców, czyli tutaj z jakichś 100 metrów od mojego domu. I ja oczywiście wiedziałem, że jak taki telefon, to że to jest ktoś, kto będzie miał ważną sprawę solidarnościową, podziemną, że jakieś takie rzeczy. No i oczywiście się zgodziłem, spotkaliśmy się, ale podszedł do mnie człowiek, którego ja jako człowiek zajmujący się fotografią doskonale znałem i wiedziałem kim on jest, mianowicie Erazm Ciołek. Fotograf „Solidarności”, legendarny już w tej chwili nieżyjący fotograf „Solidarności”, który pokazał mi tej wielkości negatyw, kolorowy i zapytał się mnie, czy ja jestem w stanie w kolorze wydrukować takie odbitki, bo trzeba to rozpowszechnić, żeby ludzie wiedzieli, kto zginął w kopalni Wujek. No i oczywiście problem zasadniczy polegał na tym, że wtedy nie szło się do sklepu fotograficznego i nie kupowało się w sklepie fotograficznym kolorowego papieru, tylko trzeba było mieć dojścia różne. Ja miałem takie dojścia do kolegi, który pracował wtedy na jakichś stanowiskach osoby ochraniającej w Wytwórni Filmów Dokumentalnych na Chełmskiej. I on tam pilnował między innymi takiego magazynu, w którym były materiały światłoczułe. No i między innymi tam był papier kolorowy, właśnie ten. I on z tego magazynu wyniósł dla mnie, no tak prawie do 500 sztuk tego papieru i dzięki temu ja mogłem to zrobić. Zrobiłem tę, taką właściwie pocztówkę. Zrobiłem i przekazałem Erazmowi, tylko też już nie pamiętam w jaki sposób. Czy ja pojechałem do Erazma samochodem, czy tutaj żeśmy się znowu spotkali na ulicy Obrońców. Tego już moja pamięć... jest trochę za słaba, nie przypominę sobie. Ale to między innymi pokazuje zakres działalności tej ciemni tutaj na Aldony. Ta działalność była od prawie 13 grudnia, mniej więcej do kwietnia 1989 roku, czyli do momentu kiedy rozpoczęły się obrady Okrągłego Stołu.